

K a z i m i E R z
S z y M E c z K o

TetR^US

Kazimierz Szymeczko
Tetrus

© by Kazimierz Szymeczko
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:
Elżbieta Chojna

Skład i korekta: Lidia Kowalczyk,
Joanna Pijewska, Aleksandra Rózanek

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-328-0

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2015
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630 23 81
faks (42) 632 30 24
www.wyd-literatura.com.pl

Wstęp

Przez ponad dwa lata pracowałem w ośrodkach Caritasu. Nie wybrałem tego zajęcia, by znaleźć temat do kolejnych książek. Pomysły dojrzewały powoli. Opieka nad niepełnosprawnymi umysłowo pomogła mi w pisaniu *Kopidoła i Kwiaciarczyki*. Gdy dyrekcja ośrodka w Halembie zaproponowała mi przeniesienie do Borowej Wsi, zgodziłem się. Zacząłem poznawać świat tetrusów. Traktowali mnie jak wszystkich nowych opiekunów, niby niezbyt rozbudowane dziecko. Po jakimś czasie uznali, że można ze mną pogadać nie tylko o technice przekładania z łóżka na wózek.

Broniłem się przed kolejną powieścią o niepełnosprawnych długo, ale nieskutecznie. Codzienne życie ośrodka, rozmowy przy ubieraniu, posiłkach, toalecie dostarczały mi coraz więcej okrucich rozmów, zdarzeń i przemyśleń, z których postanowiłem ulepić fabułę. Nie mogę oświadczyć, że wszelkie podobieństwo osób, miejsc i wydarzeń jest przypadkowe. Przeciwnie. Wiele sytuacji opisanych w *Tetrusie* wydarzyło się naprawdę, wiele postaci jest wyposażonych w cechy osób, które poznałem w ośrodku. Może niektórzy z nich będą mieli pretensje, że pozmieniałem im życiorysy, zawody albo stworzyłem jedną postać z kilku ludzi. Z góry przepraszam, ale to nie literatura faktu.

Integracyjny Klub Sportowy Jeźdźcy istnieje i ma się dobrze. Jeśli któryś z Czytelników nie wierzy, że ludzie po ciężkich ura-

zach mogą być aktywni, zapraszam na stronę internetową klubu lub na trening. Tych, którym wydaje się, że autor fantazjuje i tworzy nieprawdziwą wizję świata po wypadku, namawiam do podjęcia wolontariatu (choćby tygodniowego!) w najbliższym ośrodku tego typu. Nie gloryfikuję niepełnosprawnych ani nie ubliżam im. Są różni, jak to ludzie. Jedni dążą do celu i nie boją się wyzwań, inni płyną z prądem, niektórzy wykorzystują defekt ciała jako usprawiedliwienie dla lenistwa. Poznałem ich na tyle, że mogę pisać o ich życiu obiektywnie. Ich poglądy, uczucia, ambicje i słabostki w niczym nie różnią się od naszych. Nie ma ludzi w pełni sprawnych. Informatyk na wózku nie ma ze mną szans w biegach i skokach, ale ja w porównaniu z nim jestem niepełnosprawny w grze w szachy i programowaniu.

Kazimierz Szymeczko

Ostrava Cup, 9 V 2014

Stefan próbuje wyrwać piłkę napastnikowi, który zaryzykował indywidualny rajd. Niemiec nie odpuszcza. Wszystko się we mnie gotuje, by pospieszyć kumplowi z odsieczą. Ruszam ku nim i markuję zwód, by atakujący musiał zasłaniać się z dwóch stron. To wystarcza, by Stef wyłuskał zdobycz, odrzucając intruza o metr. Jedno spojrzenie obrońcy i przesuwam się na środek boiska. Nasz sympatyczny bandyta mija Niemca krótkim unikiem. Podaje do mnie. Łapię, odwracam się w stronę bramki i na moment tracę głowę. Dwóch przeciwników wystartowało ku mnie, a nie mam komu podać. Zaraz mnie podwoją, wezmą w kleszcze i zrobią, co będą chcieli.

– Lewy tył! – krzyczy Góral.

Prawie nie patrząc, przechylam się w kierunku głosu i rzucam piłkę. Darek łapie, nie zwalniając, i sunie po skrzydle. Niemiec ograny przez Stefana rusza ku Góralowi, ale Stef wypycha go ku linii bocznej. Jeden z moich prześladowców skręca, by przeciąć Darkowi drogę. Drugiego blokuję. Klniemy obaj, każdy po swojemu. Rozmnożyli się, czy co? Kolejny gracz rozpędza się, by staranować Darka. Ten spokojnie zdobywa kilka metrów pola, a gdy ma trójkę przeciwników na karku, lobuje na prawe skrzydło, gdzie zaczął się Szopen. Nasza tajna broń, o której wszyscy zapomnieli. Najmniejszy z graczy pędzi z piłką w stronę pola

punktowego. Obie drużyny i kibice wiedzą już, że akcja zakończona. Krzys z fantazją hamuje i odprawia ceremoniał. Delikatnie chucha na piłkę, przeciera ją rękawem i ostrożnie kładzie na polu, uśmiechając się wrednie do niemieckich obrońców. Sędzia dawno już odgwizdał punkt, ale w fanfaronadzie Krzysia jest metoda. Siedemnaście sekund do końca kwarty. Mamy czas na wycofanie się i ustawienie do obrony. Przeciwnicy ruszają jak czołgi, ale cudów nie ma. Dwa zderzenia, blok i sygnał kończący kwartę.

Pochylam się tak mocno, że słyszę trzeszczenie w kręgosłupie. Może tylko mi się zdaje, że kręgi chrzęszczą, bo o tym, co dzieje się z moim ciałem poniżej barków, wiem niewiele. Głębiej nie mogę się pochylić, bo pasy trzymają. Kładę dłonie na kołach i turlam się powoli w stronę naszych ławek.

– Pieprzone szwabasy – warczy Stefan. – Ten z czwórką mnie faulował, a sędzia nic! Przewiń mi taśmę na nadgarstku – wyciąga ramię w stronę Błażeja.

– Nie nazywaj ich Szwabami, bo to drużyna z Westfalii – Krzys nie może darować okazji do dokopania kumplowi.

Mulat, nasz kapitan, puszcza skargi i zawilości geograficzne mimo uszu. Trener patrzy na Stefka karcąco, ale nie marnuje czasu na uczenie go manier. Szykuje zmianę.

– Góral, Nielat, odpocznijcie trochę, bo więcej w waszej grze palenia gumy niż efektów. Spawany, Paweł, wasza kolej. Wiecie, co robić, ale lepiej przypomnę – sięga po tablicę trenerską z planem boiska.

– Nie jestem zmęczony – oponuję.

– Wiem. Popatrz z boku i wyluzuj. – Mulat poprawia się na wózku.

Zjeżdżam z boiska, bo z trenerem i kapitanem się nie dyskutuje.

– Wszystko w porządku? – pyta Marcin.

– Było w porządku, dopóki nie spryskałeś mnie wodą. Cała bryka pływa – mruczy Stefan. – To jest rugby na wózkach czy piłka wodna?

– Gdybyś znał poglądy Heraklita z Efezu, tobyś wiedział, że na tym świecie wszystko płynie. *Panta rhei* – wtrąca Szopen, jadąc w kierunku trenera.

– To idź i się utop!

– Sprawdź, czy worek mi nie cieknie. Miałem kilka silnych zderzeń – wskazuję Marcinowi lewą łydkę.

Przyklęka i podciąga mi nogawkę.

– Spoko. Wszystko na swoim miejscu.

– Niby wiadomo, ale głupio by było, gdybym zrobił kałużę na boisku – patrzę na zderzaki wózka.

– Podobno i tak wszystko tu pływa, więc nikt by nie zauważył

– Marcin spogląda w stronę Stefa.

– Dowcipniś. Powiedz jeszcze, że mamy grać na utrzymanie wyniku, geniuszu – Stefan zakręca tak, że już jest do nas odwrócony plecami.

– Narzeka i bluzga, czyli wszystko gra – mruga do mnie Marcin.

– Na utrzymanie wyniku możemy zagrać w ostatniej kwarcie, jeśli będziemy mieli piętnaście punktów przewagi – Mulat poprawia zębami pasek przy rękawicze.

– A czemu nie pięćdziesiąt? Co sobie będziemy żałować. Hej!

– Góral przeciąga się i tak balansuje, by stanąć na kółeczkach antywywrotnych i oprzeć się plecami o metalową barierkę przed pierwszym rzędem krzesel. Udaje mu się, więc odpoczywa przechylony w tył, prawie na ukos do parkietu.

– Rozwalisz łeb i przewrócisz baner. To dopiero będzie widowisko. – Błazej przygląda się jego wygibasom z kwaśnym uśmiechem.

– Do góry nie polecę, a w dół to nie pierwszy raz.

Patrzę na tablicę z wynikiem meczu i zastanawiam się, czy na dłuższą metę jesteśmy w stanie zwiększać dystans. Trafiliśmy na twardzieli, a cztery punkty przewagi to skromny zadatek po ćwiartce meczu.

Po boisku biegają czirliderki. Kręcą wszystkim, co im natura dała, a trzeba przyznać, że nie była skąpa.

– Fajne dupki. Ciekawe, czy miały kiedyś okazję nocować w stogu siana z prawdziwym góralem? – Darek wzdycha nieco teatralnie.

– Gdzie znajdziesz stodołę albo stóg w środku miasta? – śmieje się Błażej.

Zmuszam się, by oderwać wzrok od tancerek i patrzę jeszcze raz na tablicę. Zaraz zacznie się druga kwarta. Nad zegarem i punktacją dumnie prezentuje się logo imprezy...

Niedawno, a może bardzo dawno temu, biegałem po takich parkietach. Brałem nawet udział w spartakiadach wojewódzkich. Teraz jestem sportowcem na wózku. Dojechałem na turniej międzynarodowy. Trudno powiedzieć, czy więcej osiągnąłem „przedtem”, czy „potem”. Po prostu jest inaczej.

Dzień Punktu, 9 III 2013

Ojciec zjeżdża na lewy pas i zatrzymuje się na czerwonym świetle.

– Za pół godziny napiję się herbaty z prądem, a potem będę spał do rana – ziewa.

– Jeśli pogoda się utrzyma, to w przyszłym tygodniu moglibyśmy skoczyć do Czech albo na Słowację – mama przeciąga się w fotelu. – Zrobiłabym przy okazji zakupy na Wielkanoc. Przy granicy zawsze trochę taniej.

– Należy nam się na zakończenie sezonu. Nie wiadomo, kiedy znowu przypniemy narty – zgadza się tato.

Leniwie zastanawiam się, która opcja jest lepsza. Chyba Czechy, bo bliżej, a trasy dobre. Czuję w kościach cały dzień spędzony na stoku. Przyjemne zmęczenie. I pewność, że za godzinę będę przysypiał przed komputerem. Może tylko sprawdzę pocztę. Na razie oglądam naklejki na metalowej barierce przed sygnalizato-

rem. Udaje mi się dojrzeć reklamę kredytów i strony internetowej poświęconej narciarstwu. Nie jestem pewien, czy dobrze odczytałem nazwę portalu, więc pochylam się do przodu.

Huk, szarpnięcie. Lecę gdzieś w bok. Widzę, że mama uderza głową w dach samochodu, który znajduje się teraz tam, gdzie przed chwilą była podłoga. Strzałka sygnalizatora zmienia kolor na zielony, a potem ciemnieje.

Kilka dni po Punkcie?

Zwilżam wargi językiem. Otwieram oczy. Jest dzień. Czuję drgawki w ramionach. Nie wiem, jak w ogóle je czuję, bo nie mogę się poruszyć. Kątem oka widzę monitory i jakieś stojaki. Coś miarowo pika i pulsuje gdzieś obok mojej głowy. Albo we mnie. Podchodzi pielęgniarka.

– Gdzie narty? – szepczę.

– Na razie leż. Jesteś w szpitalu – słyszę w odpowiedzi.

– Były przyczepione na relingu. Na dachu auta. Gdzie narty?!

– Spokojnie, nic ci nie grozi. Jesteś w szpitalu. Narty są w bezpiecznym miejscu.

– Gdzie są moje narty? Gdzie one są?! Oddajcie mi narty, złodzieje pieprzone! Już!

Podchodzi lekarz i podkreca coś na stojaku. Potem sięga po strzykawkę.

– Musisz jeszcze odpocząć. Mieliście wypadek – nie odpowiada na pytanie.

– Zaskarżę was. Te ciemnoniebieskie były moje. Narty! Nauczyciel miał magnetofon dwukasetowy na kredyt. Nie ma kosiarza, bo w doniczce było... czerwone pudełko... Narty. Na dachu...

Mam wrażenie, że nie to chciałem powiedzieć, ale chyba zasypiam, więc i tak wszystko jedno. Ten huk na skrzyżowaniu. Mie-

liśmy wypadek? Potrzebuję pogadać o nartach i tym... jak on się nazywał... Zasypiam? Lecę gdzieś w dół. A może w górę? Ukradli mi narty.

Dwa tygodnie po Punkcie, 23 III 2013

Czasami leżę w łóżku, czasami w czymś, co przypomina hamak. Czasami na wyciągu. Żadna różnica, bo jestem sparaliżowany. Uszkodzenie rdzenia kręgosłupa w odcinku szyjnym. Nie chcę o tym myśleć, ale wszystko mi o tym przypomina. Uszkodzenie kręgosłupa. No to po zawodach. Może lepiej by było, gdybym skręcił kark i umarł. To lekka śmierć. Teraz nawet nie mogę podciąć sobie żył. Jedną rękę mam prawie sprawną, ale musiałbym dorwać skalpel albo przynajmniej nożyczki. Ukryć gdzieś do wieczora. Pielęgniarki chyba niczego nie podejrzewają, ale kto je tam wie. Nie dają mi szansy. No i kołnierz ortopedyczny. Prawie nie mogę poruszyć głową. Podobno na pierwsze kilka dni założyli mi coś większego, co nazywa się orteza półgorsetowa, czy jakoś tak. Niewiele pamiętam, bo zafundowali mi śpiączkę farmakologiczną, dopóki nie zrobili najważniejszych badań.

Za wszystkim stoją ludzie ubrani na biało. Wszędzie ich pełno. Jakby nie mogli zostawić mnie w spokoju. Wyglądają różnie. Lekarze, pielęgniarki, psycholog, który zapytał na powitanie, czy dobrze się czuję. Nawrzucałem mu od najgorszych i wysłałem do wszystkich diabłów. Niech sobie pisze w sprawozdaniu, co chce. Przyszedł jeszcze raz. Milczałem. No to po godzinie opowiadania bajek poszedł pisać kolejny raport. Jestem pewien, że oni wszyscy są w zмовie. Byle nie przekabacili na swoją stronę wujka Tomka. W nim cała nadzieja. Nie pomoże mi w samobójstwie, ale jest swój. A oni nie. To raczej ja jestem ich. Wczoraj minęły dwa tygodnie.

Jakiś tydzień po Punkcie. Chyba...

Wujek siedzi na metalowym taborecie przy łóżku. Spogląda mi w oczy, ale równie często patrzy na dłonie, które położył na kolanach.

– Wiem, że głupio to zabrzmiało, ale mieliście szczęście – uśmiecha się sztucznie.

– Masz rację. Głupio.

– Żyjecie. To cud. Pokazywałem ci zdjęcia samochodu.

– Łatwo go pomylić z podeptanym akordeonem. Auto to najmniejszy problem – zamykam oczy.

Wujek przyjechał kilka dni po wypadku. Pracuje w Anglii, więc zanim się dowiedział, zanim złapał samolot, zanim dojechał... Jedyna pociecha, że ojciec wypisał bratu wszelkie możliwe pełnomocnictwa. Mamy kogoś, kto decyduje i reprezentuje nas w dawnym świecie. Od niego dowiedziałem się, że rodzice żyją. Lekarze wspominali o tym, ale nie wierzę im. Ojciec ma pogruchofaną miednicę i staw biodrowy. Leży w Zabrze. Mnie przewieziono od razu do Piekar Śląskich. O mamie wiadomo tylko tyle, że fizycznie ucierpiała najmniej. Nikt nie mówi wprost, co jej dolega oprócz szoku pourazowego.

– Co z mamą?

– Nie wiem, nie jestem lekarzem – kluczy.

– Od nich dowiaduję się tylko, że mam się nie martwić. Niby jak mam się nie martwić? Co jej jest? – próbuję panować nad głosem, bo jeśli się rozpłaczę lub zacznę krzyczeć, to oni momentalnie przerwą wizytę.

– Pojedzie na dodatkowe badania. Do Rybnika albo Toszka. Może jakaś konsultacja w Lublińcu. Trochę czasu i spokoju – mocniej zaciska dłonie na kolanach.

– Jasne.

W każdym z tych miast znajduje się szpital psychiatryczny. Nazwy przeszły do powiedzonek i dowcipów. „Dojechać do Ryb-

nika” znaczy tyle, co wylądować w domu wariatów. Wiem, bo byłem na obozie sportowym w Lublińcu. Tamtejszego szpitala na oczy nie widziałem, ale jeszcze miesiąc po zgrupowaniu pytano nas niby żartem o wrażenia z pobytu.

– Idź już.

– Dobrze. Wpadnę za kilka dni. Dowiem się co i jak... Wiesz... Nie jest najgorzej – próbuje mnie pocieszyć, a nie jest w tym dobry.

– Jasne. Nie jest.

Pięć tygodni po Punkcie, chyba 12 IV 2013

Noce się dłużą. Jest czas, by pomyśleć o dawnych kumplach, gimnazjum, życiu. Meczach koszykówki i biegach przełajowych. O śmierci też, ale nie wymyśliłem żadnego sensownego planu. Ukrywanie tabletek i cięcie żył nie wchodzi w rachubę. O wieszaniu się nie ma mowy. Technicznie niewykonalne.

Pacjenci na sali zmieniają się. Kogoś wypisano, ktoś inny przyszedł na jego miejsce. Sami powypadkowcy. Nie miałem pojęcia, że tylu ludzi łąduje w szpitalach. Wypadek w pracy, samochodowy, skok do wody, zabawy pirotechniczne, bójka w pubie. Do wyboru, do koloru. Na ich tle nasza kraksa wygląda prawie przeciętnie.

Jutro wypisują mnie na rehabilitację w Reptach. Ani mnie to ziębi, ani grzeje. Po dwóch operacjach jestem tak samo sparaliżowany jak przed nimi. Od barków w dół nie czuję prawie nic. Porażenie czterokończynowe po urazie kręgosłupa szyjnego. Lekarze twierdzą, że to sukces, że poruszam prawą ręką. Co prawda z niedowładem, ale zawsze coś. I że nic więcej nie są w stanie zrobić. Coraz częściej gadają o cudownych skutkach ćwiczeń i dochodzeniu do zdrowia. W ich opowieściach Repty to jakaś mekka

paralityków. Puszczam to mimo uszu. Równie dobrze mogliby wysłać mnie do sanktuarium w Licheniu albo na Marsa.

Z żadnym pacjentem nie nawiązałem bliższej znajomości. Wywalczyłem tylko prawo do parawanu i przesunięcie łóżka pod okno. Kaloryfery grzeją, ale wiem o tym tylko dlatego, że czuję ciepło na policzku. Gdyby padło ogrzewanie, może odmroziłbym sobie uszy. Nie rozumiem, po co pielęgniarki przykrywają mnie kołdrą? Jedna obcięła nawet paznokcie u nóg, które leżą na moim łóżku. Podobno to kiedyś były moje nogi.

Noc. Powinienem ją przespać, ale wyplułem tabletki podane po kolacji. Tym razem nikt nie zauważył. Któryś z pacjentów pojękuje, inny chrapie. Rano przyjdzie ksiądz i zapyta, czy chciałbym pogadać albo przyjąć komunię. Nie mam nic przeciwko duchownym, ale zignoruję go, jak wczoraj i przedwczoraj. Żeby przyjąć Przenajświętszy Sakrament, musiałbym się najpierw wyspowiadać. Domyślałem się, że zaczęłyby mnie odwozić od skończenia ze sobą. To się nazywa konflikt interesów. Chętnie bym z nim porozmawiał, ale nie chcę słuchać o życiu i nadziei. Życie już zaliczyłem. Trwało szesnaście lat. Teraz niby mam szansę na częściowe wyleczenie. Na wózek inwalidzki i rentę. Ale to nie jest moje życie. Pięć tygodni temu umarłem. Medycyna ani wiara tego nie zmieniają.

Noc. Wujek postawił mi na stoliku budzik, jakby był jakiś sens w liczeniu czasu po śmierci. Fosforyzujące wskazówki pełzną w stronę świtu. Podnoszę kołdrę i wącham to, co pod nią leży. Chyba moje – nie moje ciało znowu narobiło w pampersa. Nie dzwonię po pielęgniarkę. Przyjdzie za niecałą godzinę. Jak zleje do kaczki mocz z worka, to powiem, że rano trzeba mnie jeszcze dodatkowo umyć. Kilka godzin leżenia we własnych odchodach to jeszcze nie koniec świata. Koniec świata już był. Teraz zostało leżenie w gównie, gapienie się w ciemność i noc. W przenośni i dosłownie.